

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Ojczyzna.

O dziecię moje, ta ziemia święta,
Na której razem wszyscy żyjemy —
Ta cudna nasza i niepojęta
Krynica wspomnień, z której pijemy,
Ten czar powietrza, co nas owiewa,
To jasne słońce, co nas ogrzewa
I nam ciemności nocy rozprasza
To Ojczyzna nasza!

Jak dziecię małe bez oka matki,
Bez jej opieki wyżyć nie może,
Jak nie zakwitną wiosenne kwiatki,
Gdy nie zaświeci słońce Boże,
Jak bez powietrza gina rośliny,
I żyć nie mogą małe ptaszyny,
Tak też nie może człowiek — o dziecię
Żyć bez Ojczyzny w świecie!

Ojczyzna nasza — to matka droga,
To jest kolebka świętej nam wiary,
To skarb najdroższy dany od Boga
To naszych ojców grobowiec stary!
O dziecię moje! — cudna, wspaniała,
Ta dawna, wielka kraina cała,
Której dziś ziemię łzami lud z rasza,
To jest Ojczyzna nasza!



Baśń o ciekawym królewiczu.

(Dokończenie.)

Królewicz mówił z wielką pewnością:

— Ej wróć, zobaczysz, że wrócę. Nie zsiądę z mego konia i tylko na dawniejszą swoją ziemię z chmury choć raz spojrzę.

— Nic nie zobaczysz, śliczny królewicu, bo tam już jeno wody a przepaści.

— Gdzieby to prawdą być mogło? Przecież zostawiłem śliczne ogrody i żyzne pola w dziedziectwie mojem.

— A jakże ci się zdaje, czy dawno już temu?

— Ot tak, może być ze trzy lata.

— Jest już trzy tysiące lat. Nie jedź, nie jedź, mój królewicu, bo nie wrócisz więc j.

Ale jak on usłyszał, że już trzy tysiące lat minęło, tak go jeszcze większa ciekawość zjęła. Nic nie mówiąc żonie, sam się spuścił na łąkę, odział kocem, dosiadł konia i jak prędko niegdyś z ziemi był przyjechał, tak prędko znowu ku ziemi się spuszczał.

— Nieś mnie kędy było królestwo moje! — krzyknął królewicz koniowi.

A koń niósł go bardzo prędko, a królewicz wydziwować się nie mógł, co to przez ten czas z ziemią się zrobiło, jakie pyszne grody się wzniosły, jakie ogromne domy po wodach pływały — coraz coś ciekawszego podsunęło mu się pod oczy, coraz coś piękniejszego nęciło go, żeby się przybliżył. — Ale królewicz pamiętny na to, co żonie przyrzekł, silnie trzymał za cugle, wszelkim pokusom się opierał.

Nakoniec i koń się zatrzymał. Spojrzał królewicz na dół, aż tu w jego oczach wszystko jak dawniej było; więc pomyślał sobie:

— Mój Boże, co mnie też powiedziała moja

żona z nieumierającego świata, że dawno wody przepłynęły nad ojcowskim domem i że przepaści porobiły się z najwyższych gór królestwa mojego; przecież tu jest wszystko, jak gdybym ja był wczoraj wyjechał dopiero.

Królewicz patrzył na dół z coraz większą ciekawością i co chwila to bardziej się spuszczał, tak, że nawet mógł wszystko słyszeć, co na ziemi mówiono. Aż tu mu przed oczy wychodzą dworscy i niosą śliczne ubiory; pełne złota skrzynie, i biedują, że nie ma dobrego, jedyne tych skarbów dziedzica.

Królewicz na swoim koniu kocem odziany cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary żołnierz i zaczyna go chwalić i zaczyna wyrzekać, że już swojego młodego pana nigdy nie obaczy.

Królewicz na swoim koniu kocem odziany cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary ojciec król i woła:

— Mój synu! mój synu! gdzie ty jesteś?

Królewicz na swoim koniu kocem odziany cichuteczko siedział.

A tu wychodzi piękna księżniczka dawna jego narzeczona, i jak zaczęła śpiewać:

— Dobrze, dobrze, że królewicza złe duchy porwały, bo był brzydki, zły i głupi — tak królewicz rozgniewany rzuca koc, puszcza konia i leci prosto na ziemię, wołając całym głosem: — „Niegodziwa!“

A tu go śmierć co prędzej za rękę porwie:

— Cha, mam cię ptaszku! już przez trzy tysiące lat szukam cię po ziemi, już wszelkimi sposobami, a ty zawsze w chmurach się chowałeś — cha mam cię teraz.

I nie mówiąc wiele, jednym zamachem kosy głowę mu ucięła, a ciało wrzuciła do morza. Bo naprawdę morza i przepaści były na miejscu dawnego królestwa i tylko śmierć zwodnica kłamliwe na nich pokładła obrazy.



Kurza wojna.

Co się stało na podwórzu! Kury, koguty, indyki, perlice, wszystek drób pokłócił się z sobą. Jak to zwykle bywa, poszło im o coś błahego. Zwinna Czubusia znalazła śliczne, białe ziarno, ot, takie duże, i nuż z niem uciekać.

A łane kury dalejże za nią. Zapomniały o śniadaniu, które im Maciejowa rozsypała, i pędzą, pędzą, że tylko pył za nimi się podnosi.

— Gda, gda, gda, oddaj nam ziarno, pokaż je, to nasze! — wołały na całe gardło.

Czubusia przecież ani myślała ich słuchać; wiedziała dobrze, że Maciejowa dla wszystkich równo ziarnka rozsypała. Kto co znalazł, to jego, a że jej się to duże, białe ziarno dostało, tem lepiej. Uciekała też z jednego końca podwórka na drugi, a gdakała, a skrzydłami biła, a broniła się, jak mogła.

Do kur przyłączyły się koguty.

— Kukuryku! — zapiał wojak, najstarszy z koguciej gromady. A to znaczyło: Moje kury, uciście się, bo jak się do was zabiorę, to będzie źle.

Lecz kury nie słyszały go nawet, więc też wojak, nie namyślając się długo, jak zacznie skrzydłami i dziobem machać na prawo i na lewo, to powiadam wam, pióra latały na wszystkie strony.

— Głu, glu, glu — rozległo się bełkotanie.

Poważny pan indyk z całem gronem szarych i białych indyczek nadbiegł na pole bitwy.

— Głu, glu, glu, co się stało? wytłamaczcie mi o co chodzi.

Nikt nie odpowiedział indykowi, więc rozgniewał się bardzo, bo przecież postąpiono z nim niegrzecznie. Na pytania zawsze odpowiadać trzeba. Korale na szyi poczerwiniły mu, jak jarzębina, roztoczył ogon i rzucił się w środek bitwy.

Całe stado poszło za nim.

Zagotowało się na podwórku i wrzask był taki, że go pewnie na drugim końcu wsi słyszano.

A tymczasem od stawu przywędrowały kaczki; szły wolno, kiwając się, przystając, i pytały się jedna drugiej:

— Kwa, kwa, kwa — co w języku kaczym znaczyło: Jakież te ptaki niemądre, że tak się biją ze sobą.

Przyszły kaczki i zobaczyły rozsypane ziarnka na środku podwórza. To im się podobało.

— Niech się tam bije, kto chce, my sobie podjedzmy — kwaknęły, i za chwilę słyszeć było tylko plusk dziobami, tak się uwijały, chwytając ziarno z ziemi.

Jaki byłby koniec tego wszystkiego, nie wiem, pewnie smutny bardzo, bo oto z ogrodu biegł już Kurta, wielki pies ogrodnika.

Biegł, czekał i njadał. Chciał pewnie porządek na podwórku zaprowadzić. Kurta miał ostre zęby, więc, na tem zaprowadzeniu niejedna kaczka, niejedna kura byłaby źle wyszła. Szczęściem wmieszała się w tę sprawę Maciejowa.

— O laboga, o laboga, o rety! — krzyczała.
— Co się tu dzieje! Nie będziecie wy cicho, szkodniki! a sio... a sio!... Czegóż wy gonicie tę biedną Czubusię? Ciep, ciep, chodź do mnie, kurczko!

Przykucała Maciejowa, nadstawiła fartuch i zmęczona Czubusia wskoczyła jej na kolana. Ziarneczko wciąż jeszcze trzymała w dziobku. Nie dała go sobie odebrać. Odważna kurka!

— Pokaż-no, biedaczko, co ty masz takiego? — pytała Maciejowa. — O laboga! A toć to biały kamyk tylko! Brzydkie ptaki, i nie wstyd wam teraz? Goniliście Czubusię, odbiegaliście od smacznego ziarna, jakie wam rozsypałam. A sio, a sio, zaraz mi do śniadania!

Aha, do śniadania! kiedy już ani śladu z niego nie zostało.

Kaczki zjadły wszystko, nikt ani widział kiedy. Zjadły, poszły nad staw i popłynęły. Dopieroż to były żale. Wszystkie ptaki pospuszczały smutnie łebki,

— Dobrze wam tak — mówiła Maciejowa — drugi raz śniadania nie dam; radźcie sobie, jak umiecie.

I poszła do kuchni.

A kurki co zrobiły?

A cóż? Kurki wiedziały, że słuszną karą, pogdakały trochę, pogdakały i rozeszły się każda w inną stronę szukać czego do zjedzenia.



Wspaniałomyślne poświęcenie.

Po nieszczęśliwej dla Węgrów bitwie pod Mohaczem, 29 go Sierpnia 1526 r. wojska tureckie nie znajdując prawie żadnych przeszkód z strony strwożonych krajowców, ciągnęły prosto do Budapesztu, stolicy węgierskiej.

Jedynie hrabia Lewensztyn odważył się z garstką walecznych rycerzy zwycięzcom w ich pochedzie stawić czoło. Ale nadaremnie. Po zwycięskiej walce hrabia razem z giermkim swoim Andrzejem Budaczem dostał się do niewoli, rycerze zaś prawie wszyscy polegli.

Pasza turecki, renegat t. j. odszczepieniec, jeńców przed siebie stawić rozkazał, starając się świetnemi przyrzeczeniami ich do odstępstwa od wiary Chrystusa nakłonić. A gdy mu się to nie udało, rozkazał obydwóch do jednego łańcucha przykutych w kamieniołamach do najcięższych

robót używać. Nieszczęśliwi niewolnicy przewidywali, że ni zadługo im przyjdzie paść ofiarą nadludzkiej wysiłku.

Hrabia Lewensztyn zjednął sobie przez łagodność i miłe obchodzenie się z swymi poddanymi powszechną miłość i przywiązanie. Młody giermek, panu swemu też z całej duszy uległy, rozmyślał dzień i noc nad tegoż oswobodzeniem. Hrabia bowiem widocznie na siłach upadał.

Pewnego wieczora siedzieli, całodzienną ciężką pracą znużeni obok siebie na brudnej słomie. Wspomnieniem o swej nieszczęśliwej ojczyźnie i ukochanej rodzinie wzruszony, hrabia rzewnie łzami się zalał. Naraz spostrzegł giermek w kącie ciasnej izdebki stojący topór, prawdopodobnie przez którego z wolnych robotników zapomniany. Chętnie pochwycił narzędzie i starannie w słomie zagrzebał. Ale wszelkie usiłowania w nocy przez niego czynione, by ogniwa łańcucha, którym do siebie przykuci byli, przełamać, okazały się bezskuteczne.

— Panie hrabio, — rzekł Andrzej Budacz — (oczy jego dziwnym ogniem zabłysły) nie podobno mi dłużej być świadkiem tej waszej nędzy. Śmierć nie posiada dla mnie nic strasznego, chętnie umrę za was, ale mój zgon powinien wam przynieść wolność.

Wynówiwszy te słowa, przeciął odważny młodzieniec ogromnem cęciem swą nogę tuż nad pierścieniem z łańcuchem ją łączącym. Następnie z bohaterską surowością hrabiemu conajprędzej uchwycić rozkazał.

Po zwalczeniu niezliczonych trudności doszedł hrabia Lewensztyn do swego grodu. Ale wspomnienie i ciągła myśl o wiernym słudze nie pozwalała mu z odzyskanej wolności należyście się cieszyć.

Pasza, dowiedziawszy się o czynie Budacza, coprędzej pobiegł do chaty, w której młodzieniec w skutek utraty krwi prawie konającego zastał. Natychmiast lekarzowi swemu rannego jak najstaranniej pielęgnować rozkazał, hrabięgo zaś ścigać nie dozwolił.

Po zupełnem wyzdrowieniu obdarzył Budacza wspaniałe, pochwalił wobec całego dworu jego wierność i poświęcenie i odesłał, przydawszy mu dla bezpieczeństwa dwóch jańczarów, do granicy swego państwa.

Na zamku Lewensztynskim panowała nieograniczona radość, cudownem ocaleniem i powrotem giermka wywołana. Hrabia swego oswobodziciela hojnymi darami obsypał; król zaś węgierski, powiadomiony o tym bohaterskim czynie, pasował wlernego sługę rycerzem.

Ucięta noga, przyczepiona do łańcucha jest dotychczas herbem Budaczów.

Krakowiak.

O! Wisła kochana,
Z pod Krakowa płynie,
D kąd ona płynie
Polska nie zaginie.

W Krakowie nad Wisłą.
Stary zamek stoi,
W nim polscy królowie
Śpią w rycerskiej zbroi.

Tam święty Stanisław
W srebrnej trumnie leży,
A Zygmunt, dzwon wielki,
Woła na nas z wieży:

Hej! dzieci kochane...
Uczcie się z ochotą
Ojczyznę kochajcie
I pracę i cnotą.



DO PRACY.

Rzućmy swawole — szczerze pracujmy,
Czasu dregiego — oh! nie marnujmy,
Bo każda chwila darmo spędzona,
Będzie nam kiedyś za grzech liczona...
Do pracy! do pracy! dalej, dalej,
Wszyscy wraz — bo czas nie wróci.

Czas prędko mija — nigdy nie wraca,
Szcześciem go może uczynić praca,
Lenistwo grzechom drogę otwiera,
Praca sto zamków przed nim zawiera...
Do pracy! do pracy! dalej, dalej,
Wszyscy wraz — bo czas nie wróci.

Przy pracy szybko mijają chwile
I całek się wzmacnia przy pracy w siłę,
Więc jak kto może niechaj pracuje
Złotych chwil czasu niech nie marnuje
Do pracy! do pracy! dalej, dalej,
Wszyscy wraz — bo czas nie wróci.

ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Zagadka.

Biała ptaszyna z czarnymi smużki,
Choć ma zlepione skrzydła i nóżki,
Przelata kraje, gdzie każesz staje,
Komu chcesz służy, co chcesz powtórzy.

Za dobre rozwiązanie powyższej zagadki
ofiarujemy 10 prześlicznych śpiewniczków, które
otrzymają te dzieci, które nam pierwsze na-
deślą rozwiązanie.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 26.

I.

E
g D y
r u M a k
z a p U s t y
k o p e N h a g a
k ł o D z k o
n e W e l
p A d
S I
L
l E w
k o W n o
c z e S ł a w
s y r o K o m l a
s i e n k i e w i c z

II.

Oczy.

